Warszawa 2050

Jacek Hummel

Mówili, że przyszłość będzie piękna. Obiecywali, że Warszawa będzie piękna. I Warszawa zmieniła się. Ludzie, społeczność, budynki, ulice - zmieniły się. W ciągu trzydziestu lat - na gorsze.

Budynek był szary, parterowy. Jeden z kilkunastu postawionych na tyłach wielkiego białego Ratusza m.st. Warszawy, dla Ignacego Atkypa przez ostatnie kilka miesięcy był sposobem na nadzieję. Niestety, w trakcie szczegółowej kontroli, prowadzonej przez uzbrojonych ochroniarzy w czarnych mundurach, został zatrzymany i zawrócony do specjalnego okienka. W okienku, drobna wychudzona, kobieta podała mu dokument wypowiedzenia.

Gdy stał w tłumie ludzi na przystanku, Ignacy czuł rezygnację i przygnębienie. Ignacy rozmyślał o tym, jak jego życie zmieni się na gorsze bez pracy, która, choć nudna, dawała mu dodatkowe kartki na żywność i wodę. Te ciemne myśli zajmowały go aż do przyjazdu autobusu.

Na przystanek podjechał trolejbus, autobus z silnikiem elektrycznym, zasilany z przewodów rozwieszonych nad ulicą tak jak linie tramwajowe. Po tym, jak samochody zniknęły z ulic wiele lat temu na skutek serii podwyżek cen ropy, wszyscy warszawiacy przesiedli się do trolejbusów i tramwajów.

Autobus w kierunku Bielan już był pełny, choć był początek dnia pracy. Komunikacja była bezpłatna, ale autobusy jeździły zbyt rzadko i zawsze były pełne pasażerów. Ignacemu udało się wepchnąć do środka. Stał tam w ścisku i czuł ostry zapach niedomytych ciał i dawno niepranych ubrań. Sam nie wyglądał lepiej, choć wydawało mu się, że pachniał lepiej. Niemniej jego ubranie też już powinien oddać do spółdzielczej pralni.

Im dalej na obrzeża Warszawy jechał autobus, tym bardziej Warszawa się zmieniała. Piękne, czyste, jasne budynku Centrum, przy wysprzątanych ulicach, zamieniały się najpierw na wille bogacze, nadal przy równych, asfaltowanych ulicach. Potem następowało kilka ulic kurczowo trzymających się dawnej świetności, dla kierunku północnego, były to rejony Krasińskiego, Stołecznej. Ale tuż po minięciu obwodnicy Warszawy, Ignacy zobaczył znajome zniszczone budynki i mocniej chwycił się drążka. Droga prawie niepostrzeżenie, z metra na

metr, zamieniła się w podziurawiony, nierówny asfalt, po którym trolejbus toczył się wolno i ociężale. Ignacy wysiadł przy Duracza.

Ignacy mieszkał w niskim, pięciopietrowym budynku. Budynek był strasznie stary, zbudowano go blisko sto lat wcześniej w okresie budowania komunizmu w Polsce. Takie budynki, żelbetowe, wielkopłytowe, świetnie zniosły lata wyzysku. Nadal stały prosto, nie pochylone, żywy dowód dobrej roboty dawno nieżyjących murarzy.

Ignacy powoli wspiął się na czwarte piętro. Jak każdy członek tej małej społeczności wziął ze sobą na górę dwa wiadra wody, które ktoś inny wcześniej przyniósł z niedalekiego punktu poboru wody. W mieszkaniu, kiedyś zajmowanym przez młode małżeństwo, a teraz przez cztery pary, niektóre z dziećmi, czuć było ciężki zapach potu i brudu.

Mieszkanie Ignaca nie było duże. Nie było to nawet mieszkanie. Ignacy mieszkał z Kornelią w jednym pokoju, powstałym z podzielenia dużego pokoju na pół. Ignacy z Kornelią dokładali się do wspólnego budżetu. Często ciężko było o prywatność, kłótnie, kto wykopie latrynę, potrafiły zelektryfikować cały budynek, ale Ignacy wiedział, że gdyby nie ta izba, mieszkałby na warszawskich slumsach, na terenie dawnej huty “Warszawa”.

Ignacy przeszedł przez zastawiony przedpokój, postawił wiadra w kuchni i po cichu wszedł do izby. Kornelia spała po nocnej zmianie w sklepie. Ignacy usiadł na podłodze, obok materaca ze śpiącą Kornelią.

Kornelia wyglądała bardzo spokojnie. Jej niebieskie kosmyki, pomieszane z blond lokami, na tle jasnej skóry twarzy nadawały jej wygląd elfi. Tak przynajmniej uważał Ignacy od momentu, gdy koleżanka Kornelii za przysługę zrobiła jej pasemka. Ignacemu wydawało się, że Kornelia we śnie zapominała o stresie codziennego życia i żyła gdzieś indziej, tak spokojnie wyglądała.

Ignacy westchnął i wyjął czytnik ze szuflady.Te niskomocowe urządzenia już dawno temu zastąpiły i papierowe książki i komputery. Materiały i energia były zbyt drogie, aby produkować kolorowe ekrany czy super szybką elektronikę.

Ignacy zaczął czytać klasyczną powieść “Przebudzenie Lewiatana”. Po chwili, gdy już wyobrażał sobie bohaterów na statku kosmicznym kolonizującym Układ Słoneczny, jednak znów jego myśli wróciły do wydarzeń dzisiejszego dnia. Ignacy próbował się nie martwić, ale tyle lat żył na krawędzi, że teraz czuł się

bardziej przygnębiony, niż zmartwiony.

Dla Ignacego jedynie Kornelia była ważna. Jak zła wiadomość wpłynie na nią - zastanawiał się Ignacy. Jak sobie poradzimy bez dodatkowych kartek, znów na koszt miasta, znów niepotrzebni - myślał dalej. Ignacy westchnął głęboko. Kornelia się poruszyła przez sen, jej powieki zadrgały, jakby się budziła. Ignacy zastygł.

Nagle Kornelia usiadła na łóżku i otworzyła usta do krzyku. Zanim krzyknęła, Ignacy powiedział:

- To tylko ja.

Kornelia zamknęła usta, zadrżała i zapytała się:

- Co się stało?

- Zwolnili mnie - odparł Ignacy.

- Ale za co, jak? - zapytała Kornelia.

- Nie wiem, nie powiedzieli, nigdy nie mówią - odpowiedział Ignacy.

- A myślałam, że będzie nam wreszcie lepiej - powiedziała Kornelia - I co my teraz zrobimy? - dodała zmartwiona.

- Nie wiem, w Warszawie nie ma pracy - odpowiedział przejęty Ignacy - Wrócimy do dawnego życia. - westchnął - Dobrze, że nie mamy dzieci.

- A gdybym była w ciąży ? - zapytała się Kornelia.

- Ale nie jesteś, prawda ? - odpowiedział pytaniem Ignacy.

- No nie - odpowiedziała Kornelia. - Chodź połóż się przy mnie - dodała, poklepując materac.

Ignacy odłożył czytnik i położył się koło Kornelii. Leżeli tak w ciszy, w środku dnia, myśląc o teraźniejszości.

Następnego dnia Ignacy poszedł się zarejestrować jako bezrobotny. Autobus przyjechał z opóźnieniem, znów pełny ludzi korzystających z darmowej

komunikacji. Ignacy zrezygnował. Nigdzie się nie śpieszył. Poszedł piechotą na ulicę Ciołka.

Ignac szedł jezdnią, aby odebrać swój przydział. Było szaro, chmury na niebie, budynki w niezmienionym kształcie poszarzałe od powietrza w stolicy. Powietrze chłodne, jesienne, suche, umożliwiało jeszcze chodzenie piechotą. Za kilka miesięcy wyjście z domu będzie trudne, szczególnie gdy nadejdą zimowe wichury.

Ulice Warszawy były albo wypełnione zmęczonymi mieszkańcami. Część gdzieś szła, część stała w kolejkach, część rozkładała na trawniku stoliki i krzesełka i grała tam, czytała lub dyskutowała. Tylko po środku jezdni zostawał jeden pas dla autobusów, reszta ulicy, trawniki i chodniki były zajęte przez kłębiący się tłum.

Przy Urzędzie Pracy stała niewielka kolejka ludzi, ubranych w czyste rzeczy, często jeszcze w czystych butach. Ignacy stanął na końcu. Po chwili wpuszczono pierwsze dziesięć osób do poczekalni. Ludzie w kolejce wyglądali tak, jakby wiedzieli, że nie znajdą roboty. Ignacy wiedział, że ta rejestracja nic nie da, ale taki był obowiązek. Stali jednak w kolejce łudząc się, że jest odwrotnie.

Ignacy po dwóch godzinach wszedł do poczekalni, która była wypełniona kolejką. Po kolejnej godzinie udało mu się dostać formularz bezrobotnego. Po kolejnej godzinie udało mu się potwierdzić złożenie dokumentu u urzędnika. Ignacy cały czas, stojąc w kolejce, zastanawiał się, czy ten jego stracony czas cokolwiek zmieniał. Już dawno nikt nie dostał roboty z Urzędu Pracy. Nawet do pracy śmieciarzy były kolejki zapisanych kandydatów na uczniów.

Po wprowadzeniu danych Ignaca do systemu przez bardzo zaangażowanego, przystojnego młodego urzędnika, Ignac przepchał się do wyjścia. Teraz kolejny niemiły obowiązek, pomyśłał Ignac.

Ignac poszedł po kartki na żywność. Kartki były rozdawane w Urzędach Dzielnicy, zatem Ignac ponownie ruszył na wędrówkę na Żoliborz. Jako dorosłemu przysługiwało mu dwa tysiące kalorii, bez pracy nie mógł liczyć na więcej. Warszawiacy nie umierali z głodu, nie tak jak mieszkańcy mniejszych miast, w zeszłym roku Radomia. Co kilka miesięcy, Ignacy czytał eseje w elektronicznych gazetach czy na słupach ogłoszeniowych krytykujące takie rozdawnictwo żywności.

Kolejka po kartki przed Urzędem na Słowackiego była znacznie dłuższa. Ludzie, często w połatanych ubraniach, w znoszonych butach czekali cierpliwie, aż nadejdzie ich kolej, aby odebrać kartki dla siebie i najbliższej rodziny. Nie słychać było głośnych rozmów, każdy patrzył się pod nogi i unikał wzroku innych. W okienkach w urzędzie niewiele lepiej wyglądający urzędnicy podawali koperty zawierające wycięte karteluszki papierowe opisane słowami “białko”, “węglowodany” czy “witaminy” i gramaturą.

Ignacy w końcu otrzymał swoje kartki oraz kartki Kornelii na cały tydzień. Schował kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki i ruszył na piechotę do domu. Trochę się obawiał, ostatnio słyszał znowu, że chuligani bili i rabowali takie kartki. Bez kartek, bez pracy znów chodziłby głodny, a tego doświadczenia nie chciał powtarzać nigdy więcej.

Ignacy był już przy dawnym parku marymonckim, gdy z uliczki wyskoczyli na niego chuligani. Trzech młodych chłopaków, może nastolatków, może młodszych, Ignacemu trudno to było stwierdzić, szczególnie ze względu na ciągłe niedożywienie dzieci, doskoczył do niego i pchnęło go na ziemię. Ignacy zaskoczony upadł na ziemię. Siedzącego Ignacego jeden z chłopaków kopnął w udo.

- Dawaj kartki - powiedział kopiący.

- Ale nie mam - odpowiedział Ignacy.

- Zamknij się i dawaj kartki - powiedział drugi.

Ignacy sięgnął do kurtki, wyciągnął kopertę i podał pierwszemu.

- Ale będę chodził głodny - trochę płaczliwie powiedział Ignacy.

- Ale nie pobity - zarechotał trzeci i nagle zabulgotał. Złapał się za pierś, ukląkł i upadł, bez podpierania się, na twarz.

Ignacy szarpnął się do tyłu i padł do tyłu na plecy. Dwaj inni chuligani zaskoczeni, spojrzeli na kolegę i na siebie. Rzucili się do biegu. Ignacy usłyszał trzaski, jakby petardy. Obaj bandyci padli na ziemię. Wokół nich pojawiło się kilku mężczyzn ubranych w czarne spodnie i koszule, a na nich kamizelki.

Ignacy poczuł w żołądku pustkę. To były czarne koszule. Jeden z nich podszedł

do leżących chłopaków, zabrał kopertę i podszedł do Ignacego.

- Panie poszkodowany, wstajemy - powiedział do Ignacego. Ignacy podniósł się. Mężczyzna podał mu kopertę z kartkami i dodał - No to do widzenia Panu.

- A te chłopaki? - zapytał się głupio Ignacy, głupio, bo słyszał co robią policjanci w czarnych koszulach.

- To już nie pański problem - powiedział mężczyzna i spojrzał się na Ignacego w taki sposób, że Ignacy po prostu zrozumiał, że następne pytanie może być jego ostatnim. Dlatego też odwrócił się i ruszył w kierunku Duracza. Za sobą usłyszał jeden trzask, wzdrygnął zaskoczony, i wtedy usłyszał drugi trzask. Zrobiło mu się żal chuliganów, ich rodziców. Kiedyś to było nie do pomyślenia, pomyślał Ignacy, ale jednocześnie przyśpieszył kroku.

Ignacy już w domu starał się zapomnieć o wyrazie zaskoczenia w oczach pierwszego z chuliganów. Nie udawało mu się to. Ignacy westchnął i wziął się do dzielenia kartek, część z nich zostawiał sobie z Kornelią na własne potrzeby, ale większość była oddawana jadłodajni. W jadłodajni dostawali abonament na obiady, często i śniadania, mogli je zjeść na miejscu lub przynieść do półpokoju.

Takie jadłodajnie, kiedyś restauracje, przygotowując posiłki dla setek osób, mogły korzystać z niewielkich ilości energii, jaka była dostarczana przez elektrownie i, jeżeli nie oszukiwała, przygotowywała ciepłe posiłki.

Nadeszła zima. W tym roku znacznie szybciej niż poprzedniego roku. W połowie października pojawiły się pierwsze przymrozki, a pierwsze śniegi na początku listopada. W mieszkaniach znów było zimno i wilgotno. Na ścianach pojawiła się niewidziana od sześciu miesięcy pleśń. Miejska sieć ciepłownicza zaczynała działać dopiero w zimę, gdy temperatura spadała poniżej minus dziesięciu stopni Celsjusza.

Mieszkańcy budynku zbierali się wieczorami przy małych lampkach ledowych w holu na parterze. Czasem tylko rozmawial, a czasem naprawiali swoje rzeczy. W takim małym budynku zawsze były chętne ręce do pomocy albo pomocnicy z radami.

- Och, dobry wieczór Pani Kornelio - powiedziała Pani Ala, starsza sąsiadka z

parteru.

- Dobry wieczór Pani Alu, jak minął Pani dzisiejszy dzień? - odpowiedziała z uśmiechem Kornelia.

- A wie Pani, kolejny dzień przeżyty w kolejkach. Nawet nie miałam czasu poczytać książki. - odpowiedziała Pani Ala. - A gdzie to małżonek? - dodała po chwili

- Jaki tam małżonek, Pani Alu, narzeczony, nie mamy jak się pobrać.

- Jak już przyrzekł, to jak mąż, a czasy mamy teraz takie, że lepiej być z kimś niż samemu.

- Ale Pani Alu, Ignacy mówił mi, że jego kolega ma jakieś książki, jeszcze papierowe do wypożyczenia. - powiedziała Kornelia zmieniając temat.

- Kto by teraz posiadał książki papierowe? - zaczęła się zastanawiać Pani Ala - dziwak jakiś, przecież całe księgozbiory spalili tej zimy, no dwa tysiące trzydziestego, no wie Pani, zimy stulecia.

- Nie wiem. Ten kolega chce chyba bibliotekę otworzyć. Jak Pani chce, to poproszę Ignaca, żeby jakieś pożyczył następnym razem - powiedziała Kornelia.

- Tylko, żeby to nie były jakieś romansidła, porządną filozofię, albo matematykę. - z zadumą powiedziała Pani Ala. - No, ale dziękuję za pamięć.

W holu było coraz więcej mieszkańców. Z piętra razem z Ignacym schodził Paweł, lokator drugiego półmieszkania.

- I mówię Ci, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. - perorował Paweł do Ignacego.

- Że co? Przecież ja nic nie mogę, żyję dzięki miastu - odpowiedział pojednawczo Ignacy.

- Ale powtarzam Ci, trzeba chwycić życie za rogi i wyrwać, co swoje.

- Że niby co? Ale tak dokładnie proszę?

- Po pierwsze, trzeba aktywnie poszukiwać pracy, praca sama się nie znajdzie, po drugie, o pracę dbać, pracy się trzymać, a nie lekceważyć - zaczął wyliczać Paweł.

- O czym Ty mówisz? - odpowiedział wzburzony Ignacy - Jak można aktywnie poszukiwać pracy, jak jej nie ma. Nawet do pracy śmieciarza są kolejki na zatrudnienie. Fabryki są zrobotyzowane, ciężarówki są zrobotyzowane, a my jesteśmy nikomu niepotrzebni. - dodał już spokojniej Ignacy.

- Ignacy, nie mów tak - powiedziała Kornelia - mi jesteś potrzebny. A Ty Paweł nie prowokuj go już.

- Nie prowokuje mnie - odparł Ignacy. - Tylko dyskutujemy.

Hol, mała świetlica w budynku, ponownie związał, według oceny Ignaca, ludzi więzami społecznymi. Tam coś naprawiali, tu uczyli się z czytników. Pani Ala rozmawiała z koleżanką z pierwszego piętra o pozycji Polski na tle ostatnich decyzji Francji i Niemiec.

Ignacy ponownie nie spał część nocy z powodu zimna. Choć próbowali się wzajemnie ogrzewać z Kornelią, to ciągle im było zimno. O wschodzie słońca Ignacy wstał z łóżka. Kornelia również nie spała.

- Zrobić Ci herbaty? - zapytał żartem Ignacy.

- Nie, poproszę kawę - odpowiedziała żartem Kornelia.

Ignacy wyszedł do wspólnej kuchni. Lokator drugiego półmieszkania, Paweł, idąc do pracy, nastawił wodę i zagotowaną przelał ją do termosa. Ignacy nalał dwa kubki ciepłej wody i wrócił do Kornelii.

- Och, dziękuję, jaka to dziś kawa? - powiedziała Kornelia.

- Tylko woda, jak zwykle - odpowiedział opryskliwie Ignacy.

- Nie musisz się na mnie wyżywać - powiedziała Kornelia.

- Przepraszam Cię, po prostu mam tego wszystkiego dość, tego całego życia -

powiedział przepraszająco Ignacy.

- Nadal Cię to nie usprawiedliwia - powiedziała Kornelia zimno.

Ignacy kolejny dzień wyszedł z półmieszkania wzburzony. Przy Broniewskiego przypomniał sobie, że powinien przynieść świeżej wody z ujęcia, zgodnie z grafikiem. Wrócił się szybko do mieszkania. W sieni usłyszał dziwne odgłosy. Jakby jęki, jakby prychnięcia dochodziły z jego półmieszkania. Mógł to być napad, Kornelia mogła być w niebezpieczeństwie. Wziął do ręki stołek z kuchni i, po głębokim oddechu, otworzył energicznie drzwi do półmieszkania.

Kornelia zdradzała go z Pawłem.

Kilka tygodni później Ignacy obudził się mocno przed wschodem słońca. W noclegowni, w dawnej stalowni, było bardzo zimno. W wielkiej hali fabrycznej Huty Warszawa leżały setki ludzi, jeden koło drugiego, na zaimprowizowanych śpiworach, kocach, co kto miał. Starsi ludzie, imigranci z innych województw, rodziny całe z dziećmi sypiały koło siebie. W zimnym powietrzu roznosił się zapach dawno niepranych ubrań, dawno niemytych ciał oraz świeży zapach odchodów ludzkich z kubłów.

Ignacy, zasłaniając nos kurtą, przedostał się po ciemku do jakby korytarza, tego kawałka podłogi szerokości pół metra, który umożliwiał wyjście na zewnątrz. Przy wyjściu z hali, zacisnął mocniej pasek w kurcie. Przestąpił próg i uderzył go podmuch zimnego wiatru. Znów nie było śniegu, tylko ten wiatr, pomyślał Ignacy. Wiatr mroził krew w żyłach.

Ignacy prawie pobiegł do szaletu. Organizatorzy noclegowni zachęcali do wychodzenia za potrzebą. Szalecie to były tylko przepierzenia i sedes, na którym się siadało z obrzydzeniem. Ignacy usiadł. W trakcie, usłyszał, że do szaletu ktoś jeszcze wchodzi. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, pewnie dla seksu, pomyślał Ignacy.

- Masz to ? - zapytała się kobieta.

- Tutaj - odpowiedział mężczyzna.

- Poświeć - rozkazała kobieta. - Wyglądają dobrze.

- Jasne, że są dobre. Kolektyw ma swoje dojścia.

- Partia dziękuje, ale potrzebujemy takich rzeczy jeszcze kilkanaście.

Ignacy wstrzymał oddech. To nie były sprawy w które chciał być zaangażowany. Ogłoszenia na słupach ostrzegały przed partią.

- Postaramy się, ale jest nam coraz trudniej.

- Partia pomoże, przekażę - powiedziała kobieta uspokajająco. - No idę, do zobaczenia.

Trzasnęły drzwi.

- Do następnego razu - odpowiedział mężczyzna zamkniętym drzwiom. Zaczął pogwizdywać. Gwizdy zbliżały się do Ignacego. Ignacy nie mógł poruszyć się ze zdenerwowania. Ignacy ujrzał brodatego mężczyznę w połatanym, ale całym ubraniu.

- A co Ty tutaj robisz ? - ostro powiedział Brodacz.

- Ja nic nie wiem, nic nie słyszałem - odparł przestraszony Ignacy.

- Szpiclujesz, prowoku ! - krzyknął mężczyzna.

- Nie, wyszedłem tylko do szaletu, śpię na stalowni, nic nie słyszałem - błagalnie zaczął zapewniać Ignacy - nikomu nie powiem.

Mężczyzna przyglądał się mu przez chwilę.

- Wierzę Ci - powiedział, sięgając do kieszeni - ale …

- Nie, nie zabijaj mnie, chociaż nie w szalecie - zaczął rozpaczliwie błagać Ignacy.

Mężczyzna zatrzymał ruch.

- Co? - powiedział zdziwiony - Przecież jedziemy na tym samym wózku, chciałem dać Ci ulotkę.

Mężczyzna wyjął ulotkę z kieszeni i podał Ignacemu.

- Jaką ulotkę? - zapytał się zaskoczony Ignacy, biorąc ulotkę.

- Przyszłość sama się nie zrobi, to my tworzymy przyszłość - odpowiedział mężczyzna. - Może jeszcze kiedyś się spotkamy? - I mężczyzna szybkim krokiem wyszedł z szaletu.

Ignacy został sam z ulotką. Na górze było napisane hasło “Ludzie wszystkich krajów, łączcie się”. Poniżej tekst “Przyszłość należy do tych, którzy przygotowują się do niej dziś”. Poniżej jakiś tekst zaczynający się od słów “W jedności siła, siostry i bracia”. Ulotka była zrobiona z cienkiego papieru. Litery były nierówne i niektóre zlewały się. Na samym dole był podana krótka informacja o najbliższym spotkaniu.

Ignacy przeczytał czas i miejsce, westchnął i wykorzystał ulotkę z braku papieru toaletowego.

Tego dnia kolejka ludzi po żywność ciągnęła się od stacji metra Stare Bielany aż do Wawrzyszewa. Ludzie stali w ciszy, niektórzy rozmawiali półgłosem. Wzdłuż kolejki przechadzały się patrole policjantów. O godzinie ósmej do punktu wydawania podjechały dwie wielkie ciężarówki napędzane silnikami elektrycznymi. Obsługa punktu otworzyła klapy i kolejne osoby z kolejki zaczęły dostawać przydział żywności za kartki.

Ignacy stał bardzo daleko w kolejce. Tak jak wszystkim było mu zimno i nieprzyjemnie. Kolejka posuwała się powoli, więc co chwilę Ignacy musiał przesunąć się o kilka kroków. Nikt nie rozmawiał, nie było to zabronione, ale policjanci krzywo patrzyli na takie grupki.

Wzdłuż Karpińskiego przejechał samochód spalinowy, widok bardzo rzadki tak bardzo na północ od centrum. Kolejkowicze odprowadzali samochód beznamiętnym wzrokiem. Samochód zatrzymał się przy punkcie wydawania żywności. Z samochodu wysiadła kobieta, w czerwonym kostiumie, około czterdziestu lat, szczupła, z mocnym makijażem i paznokciami umalowanymi takim czerwonym, że widziane były nawet z odległości kilkunastu kroków.

- Ciekawe kto to? - Ignacy pod nosem zapytał się kolejki.

- To właścicielka punktu, Anna Lubomirska. - Z tyłu usłyszał szept.

Ignacy zaczął się odwracać do rozmówcy.

- Stój człowieku - dobiegł go szept - nie odwracaj się, nie zwracaj uwagi policjantów.

- Skąd wiesz, że to właścicielka? - zapytał szeptem Ignacy.

- Pracowałem dla niej kiedyś. Straszne pieniądze robi na żywności dla miasta. Wygrywa każdy przetarg. - tłumaczył głos.

- Ale jak? - odszeptał Ignacy.

- Nikt nie wie jak, ale kiedyś jedna spółdzielnia wystartowała w przetargu, to jej magazyn z żywnością spłonął. Podobno spięcie instalacji elektrycznej.

- Nie było może śledztwa, nikt nie wiedział, kto zyskał.

- Człowieku, skąd Ty się urwałeś? - zaśmiał się cicho rozmówca - No, ale teraz cicho, patrzą na nas.

Ignacy delikatnie rozejrzał się i zobaczył, że dwóch policjantów stoi niedaleko i dyskretnie przygląda się kolejce. Lubomirska stała przy samochodzie, czerwony ze strachu kierownik punktu stał koło niej i coś tłumaczył. Na każde zdanie kierownika Lubomirska kręciła przecząco głową i odpowiadała coś, co powodowało, że kierownik czerwieniał jeszcze bardziej. Po kilku takich wymianach, Lubomirska machnęła ręką na policjantów. Policjanci karnie podbiegli do niej, wysłuchali jej i złapali kierownika i odciągnęli go do radiowozu.

Po tym Lubomirska wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i na dużym gazie pojechała dalej. Kolejka zaczęła się poruszać powoli do przodu. Kolejne osoby zdyscyplinowanie podchodziły do kontuaru, oddawały kartki, podawały karton i otrzymywały inny z porcją żywności: odrobiną oleju, ziarnem kukurydzy, odrobiną soi i czasem owocem.

Ignacy był już niedaleko kontuaru, gdy kolejny petent, młody mężczyzna, krótko po wojskowemu obcięty, w kurtce wojskowej, wyjął wagę i zaczął ważyć odmierzone produkty. Pracownik punktu za kontuaru zaczął głośno protestować, ale mężczyzna coś powiedział i tamten zamilkł. Do kontuaru zaczęli kierować swe kroki policjanci. Nagle mężczyzna rozejrzał się, zauważył policjantów i

zaczął głośno przemawiać:

- Ludzie, oszukują nas. Niedoważają produkty. Nie dajcie się oszukiwać. Walczmy o swoje.

Po tym oświadczeniu, mężczyzna zebrał produkty i rzucił się do ucieczki. Policjanci, będąc blisko, skoczyli go łapać. Mężczyzna wywinął się jednemu, ale drugi go złapał za rękę i podniósł pałkę do uderzenia. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i schwytaną rękę pchnął policjanta. Policjant, zaskoczony, przestraszony, cofnął się o krok. To wystarczyło, mężczyzna wyciągnął z kurtki plik kartek i rzucił w policjanta. Potem szarpnął schwytaną ręką i się uwolnił. Uwolniony, rzucił się biegiem od kolejki, wpadł i zniknął w ulicy Baśniowej.

Policjanci, zamiast go łapać, rzucili się do zbierania ulotek. Kto podniósł z ziemi, był ostrzegany od razu przez policjantów o przestępstwie. Ludzie w kolejce dyskretnie obserwowali zamieszanie.

Ignacy starał się niezauważenie przyglądać się. Po kilku minutach ulica była wysprzątana. Ignacy usłyszał szept.

- Głupki, tak się starają

- Jak to ?- odszeptał Ignac.

- Jadą na tym samym wózku co my przecież, tylko pracownicy. - odpowiedział głos.

- Ale mają władzę, mogą pobić - powiedział Ignacy.

- Ciszej - upomniał głos - chyba nic nie wiesz o świecie, masz tu na naukę.

Ignacy poczuł, że ktoś wsuwa mu do kieszeni kartkę. Ignacy, zirytowany tym dziwnym zachowaniem, odwrócił się gwałtownie. Ale za sobą zobaczył przysypiającą starszą kobietę. Kilka następnych osób w kolejce patrzyło się na niego z leniwym brakiem zainteresowania. Ignacy wsunął rękę do kieszeni i wyczuł tam papier.

Po odebraniu przydziału, siedząc już w parku, Ignacy wyciągnął kartkę od nieznajomego. Była to ta sama ulotka, którą już otrzymał w szalecie. Ignacy

zaczął myśleć nad tym. Może pójdę na spotkanie, pomyślał.

Na początku lutego zima uchwyciła silnie Warszawę. Temperatura spadła poniżej piętnastu stopni Celsjusza. Ludzie znów zaczęli palić książki, aby się choć trochę ogrzać. Drewna od wielu lat, tak jak drzew, od dawno nie było w Warszawie. Cena klepki podłogowej skoczyła do jednego kartonu żywności.

Ignacy był ubrany w wiele warstw ubrania. Koszule, sweterki, swetry, dwie kurtki ledwo co chroniły go przed zimnem, jeżeli nie wychodził na zewnątrz z hali stalowni. Na polu, wiatr wciskał się pomiędzy szpary i nieubłaganie wychładzał. Tego ciepła Ignacy nie miał jak odzyskać, ani jak zdobyć. Razem z innymi składał się jedzeniem na zakup opału, ale do ogniska najpierw podchodziły dzieci.

Żeby przeżyć, Ignacy poszedł do katolickiej jadłodajni przy trasie toruńskiej w kościele przy Broniewskiego. Tego dnia kolejka była dłuższa niż zwykle. Ludzie stali w szeregu wciskając się w wysoki ceglany mur, aby choć trochę ochronić się przed wiatrem. Na podwórcu było spokojniej, tam stały ławy.

Ignacy w końcu wszedł na podwórzec. Kolejka wiła się przez cały plac pomiędzy ławami, pomiędzy ludźmi. Najpierw kierowała się do namiotu, a potem do kuchni.

- Przepraszam - zaczął Ignacy do przechodzącej osoby - po co kolejka przechodzi przez namiot?

- To pan nie wie - odpowiedziała postać okutana w płaszcze, serdaki, jak wielki tobół starych rzeczy.

- Pierwszy raz korzystam z jadłodajni - odpowiedział Ignac.

- Trzeba mieć obecność na mszy, aby dostać obiad. - postać wyjaśniała - A żeby być na mszy, trzeba dostać książęczkę, w tym namiocie.

- Ale przecież chrześcijanie wszystkim powinni pomagać? - zdziwił się Ignac - Tak mi rodzice jeszcze mówili.

- Ja tam się nie znam - odpowiedział szybko tobół i prędko się odsunął od

Ignaca.

Po kilku godzinach Ignacy w kolejce dotarł do namiotu. Ignacy wszedł. Przy polowym biurku siedział rozwalony na krześle młody mężczyzna, niewielki brzuszek wylewał mu się znad paska. Mężczyzna ubrany był w całe czarne spodnie, kurtka ciemnego koloru rozpięta była czysta i niecerowana.

- Witam, synu - powiedział mężczyzna - Jestem wikarym tej parafii, co Cię do nas sprowadza?

- Jestem głodny, jest zimno i nie mam co jeść - odpowiedział Ignacy.

- Takie czasy, ale Pan Bóg daje nam tylko takie cierpienia, które możemy znieść.

- Wie Pan, ja do końca nie jestem wierzący.

- Rozumiem synu, ale zwracaj się do mnie raczej proszę księdza - powiedział surowo wikary.

- Czy mógłbym, proszę księdza - powiedział z naciskiem Ignacy - dostać obiad?

- Synu, ten ton Ci nie przystoi, jesteś w domu bożym, a nie zachowujesz pokory - odpowiedział poważnie wikary. - Czy rodzice niczego Ciebie nie nauczyli?

- No, nie, tyle co do szkoły, a potem miałem sobie radzić sam.

- Zatem zachowuj pokorę, pokorne cielę dwie matki ssie. - powiedział z namaszczeniem wikary - Podejdź bliżej, synu. Jak Ci na imię?

- Ignacy.

- Piękne imię, chrześcijańskie, ochrzczony byłeś?

- No nie

- O tempora, o mores - powiedział wikary - czyli Ty mały poganin jesteś?

- Proszę księdza, kiedy dostanę jeść ? - zapytał się, hamując złość, Ignacy.

- Zaraz Ci tu wyrobimy książęczkę, pójdziesz z nią do kuchni, potem na mszę, a jutro zaczniesz od mszy i pójdziesz do grupy katechumenalnej - powiedział

wikary. - Pamiętaj, jedna msza to jeden obiad, ku większej chwale Pana Boga.

- Rozumiem, ale czy to - Ignacy pokazał na książeczkę i na cały namiot - jest konieczne? - zapytał się Ignacy. - Przecież jestem w potrzebie, a chrześcijanie powinni pomagać innym.

- No, to już pytanie na grupę katechumenalną - odpowiedział wikary, wypełniając małą książęczkę. - Na razie pamiętaj, bez mszy nie ma obiadu.

Wikary wstawił pieczątkę.

- Masz tu, synu - podał Ignacemu.

Ignacy powściągnął wzdrygnięcie na to ciągłe synowanie. Sięgnął po książeczkę, ale wikary cofnął dłoń z książeczką, a wysunął drugą, wierzchem do góry, jakby do ucałowania.

- Czy mam pocałować w rękę ? - wyszeptał Ignacy.

- Tak, synu, okaż wdzięczność świętemu Kościołowi Katolickiemu. - odparł wikary.

Ignacy spojrzał się na młodego wikarego, pomyślał o ssaniu w żołądku, które towarzyszyło mu od przedwczoraj. Odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Nadeszła wiosna. Sporadyczne deszcze zamieniały ziemię w błoto. Ludzie rozdeptywali błoto w rodzaj kleju. Ignac z przyjemnością wygrzewał się na mocnym wiosennym słońcu.

- Drogi Ignacy - usłyszał z tyłu.

Odwrócił się, poznając ten głos.

- Mój drogi Horacy - odpowiedział z uśmiechem - Jak Ci zaczął się dzień?

- Wspaniale - odpowiedział Horacy.

Ignac poznał Horacego kilka tygodni temu w jednej z wielu kolejek, w których musiał stać bezczynnie i w milczeniu. Horacy, imię prawdziwe, nadane przez

rodziców, był o kilka lat młodszy od Ignacego, tak jak on nie pracował i zajmował się przede wszystkim życiem epikurejczyka. Wysoki, otyły z powodu jedzenia niskiej jakości, cały czas zachowywał się poważnie, choć jak mówił, w środku śmieje się jak dziecko. Ignacy polubił go.

- Dzisiaj rano zjadłem nieziemską owsiankę - powiedział Horacy - dodałem odrobinę miodu, i przez chwilę byłem równy bogom na Olimpie.

Ignacy się roześmiał.

- Mówisz o tym glucie i syropie glukozowym, który dostajemy w noclegowni ? - zapytał się Ignac.

- Dla Ciebie glut, a dla mnie ambrozja, bo ani nie jestem głodny, ani nie jestem spragniony, czego jeszcze oczekiwać - odpowiedział Horacy.

- A gdzie teraz idziesz? Do kolejki?

- Nie idę, a podążam, zgodnie z naturalną koleją rzeczy po żywność, mogę Ci potowarzyszyć jak chcesz?

- Chodźmy zatem, aby spełnić to pragnienie.

Szli razem, a koło nich, jak co rano, szły w błocie tłumy ludzi wysypujące się bloków, kamienic czy z namiotów. Dawne trawniki, a teraz błotowiska, były zajmowane przez kolejne grupy ludzi, wracających z kolejek idących do kolejek.

Ignacy szedł spokojnie, omijał większe grupki lub przeciskał się pomiędzy innymi ludźmi. Horacy szedł koło niego lub za nim. Ignacy szedł poważny, skupiony na celu, a Horacy uśmiechnięty, ze słowami przepraszam i proszę na ustach.

Doszli do końca kolejki. Tutaj obowiązywały inne zasady. Zasady milczenia i spokoju.

Horacy złapał za ramię Ignacego.

- Mój Ignacy - powiedział

- Mój Horacy - odpowiedział Ignacy.

- Zanim zamilkniemy na najbliższe godziny, pozwól, że przekażę Ci ważną informację.

- Słucham Cię uważnie.

- Dziś w Lasku Bielańskim po zmroku jest spotkanie. Chciałbym, abyś przyszedł.

- Jakie spotkanie? Jakaś sprawa polityczna? - zapytał się zaniepokojony Ignacy.

- Tak. Chodzi o naszą przyszłość.

- Nasza przyszłość, nie mamy przyszłości - odparł ze smutnym uśmiechem Ignacy.

- My może nie, ale ludzkość musi mieć przyszłość.

- Pomyślę nad tym - obiecał Ignacy.

Zmrok zapadał nad Warszawą szybko. Nie było latarni, więc bardzo szybko nic nie było widać. Ciemność na ulicach była rozświetlona ręcznymi latarkami. Ignacy powoli zbliżał się do Marymonckiej. Kiedyś dalej był Las Bielański, ale został już bardzo dawno temu wycięty. Ziemia była podmokła, bez drzew zamieniła się w bagnisko, na które nikt nie chciał wchodzić.

Przy Podleśnej spotkał się z Horacym. Horacy poprowadził Ignaca na podeschnięty placyk. Tam szybko zbierały się grupki ludzi w każdym wieku.

- Dużo osób będzie? - zapytał się Ignacy, żeby przerwać ciszę.

- Cii - uciszył go Horacy - żadnego gadania, a i żadnych imion, proszę - dodał po chwili.

Tłumek gęstniał, nie można było zobaczyć liczby osób, ale w ciemności, co raz więcej czuć było drugiego człowieka, niedomytego, spoconego, niedaleko.

W ciemnościach, od strony Marymonckiej, rozległ się głos z megafonów.

- Tu Policja, to zgromadzenie jest nielegalne. Rozejść się!

Horacy przykucnął i pociągnął za sobą Ignaca.

- Uciekamy - syknął Horacy - w stronę Wisły.

Naokoło Ignacego ludzie przemykali w różnych kierunkach. Nagle do nocnej ciszy wdarł się odgłos prutego materiału. Nad tłumem zaczęły latać jasne linie, niektóre padały niżej. Ignacy pociągnął za sobą Horacego i rzucił się do biegu prostopadle do tych linii.

- Dawaj, biegiem - krzyknął Ignacy.

Odwrócił się, ale Horacego tam nie było. Ignacy przykucnął, próbując w ciemnościach dojrzeć przyjaciela. Nie było go tam. Mógł wracać, ale pociski smugowe zaczęły latać jeszcze gęściej. Chciał uciekać, ale tam został Horacy. Ignacy nie chciał zostawiać przyjaciela. Przed nim upadła kobieta. Groza odebrała mu dech z piersi. Ignacy położył się na ziemi, podczołgał się do niej, ale nie oddychała. Ignacy podniósł głowę, podniósł się w kucki i wpół pobiegł jak najdalej od śmierci.

Po śmierci Horacego, Ignacy był przybity. To wydarzenie wymusiło na nim refleksję. Jego życie było bezcelowe, mógł żyć i mógł nie żyć. Jednak wolał żyć, zwierzę w nim wymuszało ruch, chodzenie po żywność, załatwianie potrzeb fizjologicznych.

Chodzenie po mieście przypominało mu Horacego, jego radość życia, jego spokój. Nie znał nikogo z jego rodziny, Horacy nie przedstawił mu kolegów, więc nawet nie wiedział jak przekazać wieść o jego śmierci.

Miesięce upływały na żałobie. Ignacy nie wiedział co ze sobą począć. Pewnego dnia znalazł przy barłogu w stalowni ulotkę partii nawołującą do manifestacji. Ignacy, dla Horacego, dla siebie, aby poczuć się wreszcie choć raz człowiekiem, zdecydował się pójść.

Czternasty lipca dwa tysiące pięćdziesiąt czwartego roku był dniem suchym, gorącym dniem na terenie całego województwa warszawskiego. W tym dniu, tysiące osób wyszło na ulice, aby poprzeć w manifestacji żądania równości, braterstwa i wolności dla wszystkich, niezależnie od stanu posiadania. Zgromadzeni żądali równego udziału w przyszłości, inni - dochodu

gwarantowanego.

Milionowa manifestacja szła spod Pałacu Kultury i Nauki w kierunku Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Ignacy Atkyp też w niej uczestniczył. Na wysokości placu Konstytucji naprzeciw manifestantom stanęli policjanci ze szkoły oficerskiej w Szczytnie, oddziały prewencji i czarne koszule, oddziały policyjnych morderców.

Manifestacja zatrzymała się na wejściu do placu przy ulicy Marszałkowskiej. Policjanci, długi czarny szereg, stali nieruchomo. Przez megafony rozległ się komunikat Policji.

- Na podstawie Prawa o stanie wyjątkowym, należy się rozejść i powrócić do codziennych zadań. Nieposłuszni będą ukarani.

Kilkanaście osób w manifestacji niedaleko Ignacego zaczęło zachęcać do dalszego marszu. Koło Ignacego starsza kobieta powiedziała, że nic im nie będzie, że mają prawo manifestować, że jest ich manifestantów za dużo, że nadchodzi zmiana jakościowa. Nagle koło niej pojawili się atletyczni mężczyźni i wykręcili jej ręce, zaczęli się przepychać w kierunku granicy manifestacji. Kobieta jęczała cicho. Inni manifestanci zaczęli się dopytywać, co się stało. Ignacy nie usłyszał odpowiedzi, ale zobaczył, że atletyczni mężczyźni są atakowani przez manifestantantów i padają na ziemię. Kobieta został uwolniona. Podniosła pięść do góry i krzyknęła. Przez tłum przebiegła fala i manifestacja ponownie ruszyła.

- To jest ostatnie ostrzeżenie - przez megafon powiedział policjant.

Manifestacja dalej szła. Ignacy usłyszał trzaski, jakby ktoś łamał deskę. Manifestanci zatrzymali się. Ignacy usłyszał ryk i krzyki z przodu manifestacji.

- Strzelają - ktoś krzyknął.

Ignacy w tym momencie przekroczył linię dzielącą posłusznego obywatela od wolnego człowieka. Miał tego wszystkiego dość, ciągłych kolejek, brudnych ubrań, głodu, chłodu, braku przyszłości. W jakim świecie przyszło mi żyć, że nic nie jest mi dane, nic nie mam, a jeszcze mi wszystko zabierają-myślał gorączkowo. Zrozumiał, że jego całe życie prowadziło do tej decyzji, twardej, bo ostatecznej. Ignacy rozejrzał się wokół, zobaczył zmęczone twarze ludzi sponiewieranych.

- Ludzie - krzyknął Ignacy - co nam po takim życiu?

Otaczający go ludzie zatrzymali się i spojrzeli na niego.

- Ludzie - krzyknął Ignacy, do wtóru trzasków wystrzałów - śmierć jest niczym dla nas.

Ludzie, kobiety i mężczyźni, stali niezdecydowani, .

- Ludzie - krzyknął jeszcze raz Ignacy - śmierć jest niczym dla nas, naprzód po przyszłość naszą i naszych dzieci.

Jego krzyk poruszył najgłębsze marzenie w życiu każdego manifestantów. Zaczęli skandować, do otaczających Ignaca ludzi przyłączali się inni. Manifestanci ruszyli w kierunku Sejmu. Ignacy zaczął biec razem z innymi. Przed sobą usłyszał łomot, jakby wiertarki, koło niego ludzie zaczęli padać, zatrzymywać się w miejscu, siadać. Na ziemi pojawiły się plamy krwi z ciał postrzelonych. Ignacy nie myślał - wreszcie działał.

Ignacy Atkyp został śmiertelnie postrzelony na schodach Sejmu. Jego poświęcenie i najwyższe poświęcenie innych warszawiaków rozpoczęło lawinę, która zmiotła dawny porządek.

Prawdę mówili, że przyszłość będzie piękna, że Warszawa będzie piękna. W końcu Warszawa się zmieniła. Ludzie, społeczność, budynki, ulice - zmieniły się. Na lepsze.

Warszawa, październik-listopad 2017 roku

Warszawa, wrzesień 2018 roku